Nr. 142. Lwów — Niedziela dnia 21 Czerwca. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako to o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 12 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 3 „
zaś tłustym garmondem po . . . 6 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: D. 4 po Św. Alojzego św. Paulina | Jutro: N. 4 po Sosz. Tymoftej
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca g. 4 m. 5. Zachód „ 7 „ 58
Długość dnia g. 15 m 53. Przybyło dnia od wczoraj 0 m.

Czas odnowić prenumeratę. Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 1 złr. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 centów.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 czerwca.

Z wielu oznak sądzić można, że Rosyanie uparcie wierzą w nadejście jakiegoś ożywczego prądu, który wniesiony będzie w ich życie przez młodego cara, chociaż panowanie jego, trwające już półtora roku, zaznaczyło się wyraźnem obstawaniem przy dawnych porządkach. Widocznie pragnienie zmian jest silne i serdeczne, a poczucie potrzeby ich ogromne, skoro doznane zawody nie gaszą nadziei. Z nową siłą ocknęła się wiara, że po koronacyi, która w oczach narodu pasuje cara na rzeczywistego samowładzcę, dopiero się zaczną prawdziwe rządy Mikołaja II. Nie wyrobiło się jeszcze w Rosyi jasne pojęcie o drogach, któremi ostatecznie pójdzie nowe panowanie, ale powszechnem jest mniemanie, że będzie to droga odmienna od dawnych, a lepsza — i oto prasa ustawicznie daje wyraz tym nadziejom, bądź krytykując to, co było, bądź podnosząc różne życzenia, w których potrąca i o polskie stosunki i o polityczną rolę rosyjskiego państwa. Z nader licznych tego rodzaju głosów zasługują na uwagę dwa — jeden organu ministra finansów p. Wittego, który zdobywa coraz większe znaczenie, co się wyraziło faktem, iż został sekretarzem stanu, czyli otrzymał godność, której dotąd nie miał żaden jego poprzednik; — drugi zaś głos wyszedł z obozu panslawistycznego, wpływowego bodaj najbardziej już choćby dlatego, że zdawna spełnia obowiązki „nieurzędowej Rosyi“. Głos pierwszy, opublikowany przez *Giełdowe Wiedomości*, tak brzmi w najważniejszej swej części: „Od kongresu wiedeńskiego aż do dziś Rosya służyła interesom różnych rządów, lecz nigdy nie uwzględniała życzeń narodów. To wytworzyło ową nienawiść, która sprowadziła na nas wojnę krymską i zniewalała narody europejskie do upatrywania w Rosyi siły brutalnej, barbarzyńskiej, wrogiej wszelkiemu rozwojowi swobód. Niewola, panująca u nas, brak jawności w życiu publicznem, ciemnota umysłowa, bezprawie, nierzadko okrucieństwo — to z jednej strony utrwalało przekonanie, jakie o nas miano w Europie, z drugiej zaś strony, stąd płynęły niezliczone błędy naszej polityki. Na szczęście, te smutne czasy należą już do przeszłości. Lud rosyjski, sam uwolniony, zaczyna rozumieć i cenić wolność innych narodów. Wprawdzie ks. Bismark, jako prezes gabinetu pruskiego, a potem jako kanclerz rzeszy niemieckiej, potrafił swemi machinacyami postawić politykę naszą w warunkach, przypominających czasy metternichowskie, lecz przypadło to na chwilę reakcyi wewnętrznej, przez jaką Rosya przejść musiała po bolesnych wypadkach, towarzyszących ostatnim latom panowania Aleksandra II. Dziś już to minęło. Sam związek nasz z republiką francuską wpaja przekonanie, że Rosya nie może nikomu przeszkadzać w zdobywaniu moralnych korzyści i nie chce gwałcić niczyich praw. Zaczynają patrzeć na nas w Europie jako na siłę dodatnią, pokojową, pożyteczną w pracach cywilizacyjnych. Pozostaje tylko życzyć, aby się nie zmniejszyło i nie zanikło to zaufanie, do tego zaś potrzeba, byśmy nie popadli w zastój, lecz drogę naszą oświecali pochodnią prawdy i sprawiedliwości“.

Tu więc powiedziano wszystko, czego może życzyć człowiek, szanujący sumienie i prawa zarówno jednostek, jak i całych społeczeństw. Jest pewne pokrewieństwo między tą odezwą a panslawistycznym głosem w *Świecie*, który wręcz zwrócił się do Polaków ze słowami, których jeszcze nigdy dotąd nie wyrzekł. Oto, wzywa nas ten organ do bratniego porozumienia z Rosyą nie żądając, byśmy się wynarodowili, a to właśnie stanowi wielką różnicę z tem, co jeszcze niedawno uważali Rosyanie za nieunikniony warunek zgody. Że przytem o przeszłości sądzi fałszywie, postępowanie Rosyi usprawiedliwia, a winy zwala na nas, o to mniejsza, bo tak zresztą postąpić nakazywała może taktyka. Więc, nie przywiązując wagi do przesłanek *Świeta*, ocenimy należycie ostatni jego wywód. Dziennik ten pisze: „Ani katolicyzm, ani prawosławie nie powinny i nie mogą zawsze podsycać nieprzejednanej nienawiści, bo różnice w obrządkach przecie nie sięgają nieba, a przed Tronem Przedwiecznego modły nasze zlewają się w jeden hymn chrześcijański. Rosya nigdy nie żywiła wstrętu do żadnego narodu, nie prześladowała niczyich wierzeń, tembardziej nie może ona nienawidzieć współplemiennej Polski. Bywało, żeśmy się ostro ścierali z Polakami, ale to wina ich chorobliwej miłości własnej i to nie ich wszystkich, nie narodu, lecz jego przywódzców. Te utarczki potrzebne były nie nam, lecz Niemcom. Aby łatwiej w mętnej wodzie łowić ryby, wyzyskiwali oni bądź chorobliwą miłość własną Polaków, bądź ich fanatyzm religijny, jątrzyli przeciwko nam biedny naród polski, a on powstawał i podnosił morderczy oręż, sądząc, że służy Ojczyźnie i Bogu. Myśmy się bronić musieli, a potem chcieliśmy się zabezpieczyć na przyszłość od takich wypadków; więc po powstaniu następowała represya. Jednak Rosyanin, który nigdy długo nie pamiętał złego, łagodniał prędko, mijało lat trzydzieści i oto znowu wybuchało powstanie, a po niem zaczynała się dawna historya. Prawdopodobnie blizkim jest dzień, w którym represya za powstanie całkiem zniknie. Więc zwracamy się do Polaków z pytaniem: czy długo pozwolą nam żyć z sobą po bratersku? Polacy! Nie poddawajcie się jątrzeniom niemieckim, podajcie nam dłoń; oto nasza już wyciągnięta do was — i pójdźmy razem, równym krokiem przeciwko Drang nach Osten! Przypomnijcie sobie, coście mieli przed powstaniami i coście utracili, usłuchawszy podszczeń niemieckich. Mieliście samorząd, własne wojsko, monetarny system, prawodawstwo odrębne. To wszystko dała wam Rosya. A czy bodaj coś podobnego, choć cień tego dali wam ci obłudni przyjaciele wasi, Niemcy? Oni nawet nie pomyśleli o waszych prawach, które dla nich były ostrym nożem; oni odebrali wam wszystko, co może sprzyjać rozwojowi narodu, oni wreszcie postanowili wyzuć was z ziemi, tej jedynej podstawy, na której istnieć może żyjący organizm. Zdejmcie łuskę z oczu, nie gubcie siebie i zarazem tej wspólnej, słowiańskiej sprawy, dla której powinniśmy zgodnie pracować na gruncie równouprawnienia i sprawiedliwości!“

Jak widzimy, odezwa ta brzmi tak gorąco, jak gdyby się dobyła wprost z serca. Więc i odpowiedź na nią mogłaby być równie serdeczną, gdyby rodacy nasi pod zaborem rosyjskim mieli swobodę słowa i mogli wypowiadać to co czują. Ponieważ jednak nie mają żadnego sposobu wypowiadania swych uczuć, bo ani nie mają swobody prasy, ani swobody zgromadzeń, ani żadnej drogi do komunikowania komukolwiek, czy to rządowi, czy społeczeństwu rosyjskiemu swych zapatrywań, przeto artykuł *Świetu* nie doczeka się odpowiedzi. Wprawdzie posłuży to znowu prasie rosyjskiej za argument do twierdzenia, że ilekroć Rosya wyciągała rękę do Polski, to Polska swojej nie podawała, lecz na to rady nie ma: naród, któremu mówić zakazano, wypowiadać swych zapatrywań nie może, jeżeli nie chce zejść z drogi legalnej. A Polacy nigdy już więcej z drogi legalnej schodzić nie będą. Historya stała się już i dla nich mistrzynią życia.

Stolica rumuńska, Bukareszt był parę dni temu widownią niezwykle dzikiej sceny, do której doprowadziła agitacya przeciw rządowi, a za zdegradowanym metropolitą-prymasem. Jak wiadomo, ów dostojnik cerkiewny, jednogłośnie potępiony przez synod, był niemal przemocą wywieziony z pałacu i zamknięty jako prosty mnich w prowincyonalnym klasztorze. Rząd o tyle odstąpił od przepisów, że wykonał wyrok synodu, nie czekając królewskiego zatwierdzenia, które zresztą w kilka dni potem nadeszło. W każdym razie, było widoczne, że gabinet pana Sturdzy należy do nieprzyjaciół prymasa. Więc też zgromadzenie ludowe, odbyte 5 czerwca pod przewodnictwem byłego ministra Flevy, uchwaliło domagać się od rządu wyjaśnień i w tym celu ułożona była rezolucya, którą podano panu Sturdzy. Gabinet nie uwzględnił tego życzenia; opozycyjna prasa rozwinęła cały jątrzycielski aparat; pojawiło się tysiące plotek, przedstawiających zachowanie się rządu w najohydniejszem świetle; nareszcie przed trzema dniami zwołano znowu zgromadzenie ludowe; było ono i nadzwyczaj liczne i niezmiernie burzliwe; krytykując gabinet, nie przebierano w wyrazach i nie szczędzono pogróżek. Wreszcie roznamiętnieni wiecownicy udali się tłumnie do miasta, zrobili owacyę przed mieszkaniem Flevy i udali się do p. Sturdzy, aby się domagać odeń wyjaśnień. Nie zastali go w domu, lecz od szwajcara się dowiedzieli, że jest w ministeryum; ruszyli tedy ku temu gmachowi i po drodze spotkali szefa gabinetu w powozie. Tu się zaczęła wstrętna scena. Zatrzymano konie, zaczęto łajać ministra, potem oplwano go, osmarowano błotem, podarto na nim ubranie, targano go za włosy, bito, aż nareszcie znalazła się policya i wtedy hałastra zemknęła tak prędko, że nie zdołano nikogo aresztować. Pozostawało tylko odwieźć do domu nieszczęśliwego ministra.

Arcyksiążę Otton.

Piszą nam z Wiednia, 19 czerwca:

Po śmierci arcyksięcia Rudolfa, arcyksiążę Karol Ludwik jako faktyczny następca tronu, został wezwany przez Cesarza do pewnego udziału w rządach monarchii. Mianowicie bywał uwiadamianym o wszystkich ważniejszych krokach na polu polityki zagranicznej, tudzież o ważniejszych szczegółach wojskowych. Równocześnie częsta nieobecność Cesarzowej Elżbiety sprawiała, że na różnych uroczystościach dworskich arcyksiężna Marya Teresa, żona Karola Ludwika, od lat kilku zwykle zastępowała panią domu. Po śmierci arcyksięcia, *de jure* te funkcye przeszły na najstarszego jego syna Franciszka Ferdynanda. Tymczasem świeżo Cesarz przypuścił do nich młodszego synowca swego Ottona, który na jesień stale zamieszka w tutejszym pałacyku w Augartenie, przez kilkanaście lat oddanym do dyspozycyi ś. p. w. ochmistrza ks. Konstantego Hohenlohego. Rozporządzenie to cesarskie w niczem nie narusza praw, które na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda przeszły historycznym porządkiem sukcesyi, ale świadczy, że istotnie stan zdrowia na teraz nie pozwala temu legalnemu następcy tronu wywiązać się z zadania, które spadło na niego wskutek śmierci ojca. Powtóre zaś owo rozporządzenie najdobitniej zaprzecza starym plotkom o rzekomych zamiarach zmiany zabezpieczonego „sankcyą pragmatyczną“ porządku sukcesyi, stwierdzając przeciwnie, że ściśle według tej ordynacyi prawo następstwa na tronie przechodzi po śmierci Karola Ludwika na najstarszego jego syna Franciszka Ferdynanda, potem na brata tegoż Ottona, dalej na tegoż synów i t. d, nie zaś na żadną linię poboczną. Ponieważ arcyksiążę Franciszek Ferdynand nie jest żonatym, staje się rzeczą wielce prawdopodobną, że rychlej czy później na tronie osiądzie arcyksiążę Otton.

Rzecz ciekawa, że to będzie pierwszy cesarz z rodu habsburgsko-lotaryngskiego tego imienia. Było 4 cesarzy niemieckich Ottonów z innych rodów, kilka książąt bawarskich i margrabiów brandenburgskich Ottonów, ale nie było dotąd żadnego cesarza Habsburczyka tego imienia. Arcyks. Otton dotąd poświęcał się wyłącznie swym obowiązkom wojskowym. Nie można było dostrzedz w jego zachowaniu się żadnych symptomatów pewnego kierunku politycznego, który dość wyraźnie zaznaczył się na dworze jego starszego brata, ściśle związanego z kółkiem tak zwanej feodalnej szlachty z Czech, i świeżo został zatwierdzonym powołaniem b. namiestnika hr. Franc. Thuna na jego w. ochmistrza. Arcyksiążę Otton dotąd pozostał politycznie całkiem neutralnym i do tego stanowiska całkiem też przystaje powołanie na godność jego w. ochmistrza księcia Alfreda Montenuovo, po ojcu wnuku arcyksiężny Maryi Ludwiki, wdowy Napoleona I, po matce urodzonej hrabiance Batthyany, spokrewnionego z arystokracyą madziarską i polską przez szwagra Wielopolskiego, ale nie wmieszanego do żadnych politycznych i narodowościowych rywalizacyi i sporów. Jeszcze na początku r. 1889 (przed śmiercią arcyks. Rudolfa) arcyks Otton zdawał się być tak bardzo oddalonym od tronu, że mógł myśleć tylko o zawodzie wojskowym, i do niego przygotowywał się sumiennie, chociaż zresztą wszystkie nauki pobierał wspólnie ze swym starszym bratem.

Pomiędzy nauczycielami dwóch młodych arcyksiążąt znajdowali się i tacy, których wpływ mógł obudzić pewne zastrzeżenia, zwłaszcza profesor dziejów Onno Klopp, znany emigrant hanowerski, marzący ciągle o rewindykacyach habsburgskich w Niemczech i grzeszący dziwacznym pessymizmem względem dziejów polskich, o którym świadczy tak dobitnie jego dzieło, a raczej pamflet o Odsieczy Wiednia, wydany w r. 1883! Jednakże według najautentyczniejszych zapewnień, teorye „naukowe“ p. Kloppa nie skrzywiły politycznych poglądów jego dostojnego ucznia, który też teraz, pod bezpośredniem kierownictwem doświadczonego Monarchy, otrzyma wszelką sposobność dokładnego przejęcia się nową, wielką misyą monarchii i przekonania się na każdym kroku o tem, gdzie w tym względzie może liczyć na najuczciwsze i świadome celu poparcie.

Korespondencye.

Poznań w czerwcu.

W jednej z poprzednich korespondencyj doniosłem, jaki kłopot mają Niemcy w swojej zaciętej akcyi kolonizacyjnej z powodu braku uczciwych, oddanych roli kolonistów niemieckich. A oto teraz wychodzą znowu na jaw nowe, ujemne strony tej działalności, które, dogadzając zachciankom politycznym, szkodzą interesom ekonomicznym państwa. A zwracają na te ujemne strony uwagę sami Niemcy, jak pierwej prezes komisyi kolonizacyjnej dr. Witenberg, tak teraz p. Chüden, radzca rejencyjny i ekonomii krajowej. Napisał on broszurę zatytułowaną „Włości rentowe, ekonomiczne i społeczne niebezpieczeństwo dla wschodnich kresów monarchii“ w której występuje przeciw komisyi jeneralnej, zarzucając jej, że wytwarza kolonistów z góry skazanych na ruinę materyalną. Bo też w ogóle na polu parcelacyi i połączonej z nią kolonizacyi wewnętrznej zaznaczać się zaczyna w ostatnich czasach pewne przesycenie i coraz liczniejsze odzywają się głosy, przestrzegające przed wytwarzaniem nadmiernej liczby drobnych eksploatacyj rolnych, pozbawionych wszelkich warunków powodzenia. W rzeczy też samej znaczna bardzo liczba osadników, którzy nabyli osady od komisyi kolonizacyjnej, oraz od tak zwanej komisyi jeneralnej, urządzającej włości rentowe, albo utraciła już swoje osady, albo bliską jest ruiny materyalnej. Obie te instytucye rządowe, kierujące się w swej działalności duchem biurokratycznym i powierzające przeprowadzenie swych operacyj kolonizacyjnych urzędnikom, mało obeznanym z miejscowymi warunkami i potrzebami, mało się nadają do racyonalnego prowadzenia tej reformy społeczno-ekonomicznej.

Przejdę teraz do akcyi antypolskiej na polu szkolnictwa, a powód do tego nastręczają daty o naszych preparandach i seminaryach dla nauczycieli, świeżo ogłoszone przez rządowy *Centralblatt*. Otóż państwowych preparandyi dla kandydatów nauczycielskich jest u nas 5: w Czarnkowie, Lesznie, Łobżenicy, Międzyrzeczu i Rogoźnie. W zakładach tych kształciło się w roku 1895/96 318 młodzieńców, między nimi było 194 katolików, a 124 protestantów. Prócz tego istnieje także kilka prywatnych preparandyi, z charakterem przeważnie protestanckim, to też są one subwencyonowane przez rząd. Z pięciu seminaryów nauczycielskich Księstwa, znajdujących się w Paradyżu, w Koyni, w Rawiczu, w Bydgoszczy i w Koźminie, są tylko dwa pierwsze katolickie; rawickie jest symultanne, lecz ma przeważnie protestanckich uczniów. W roku 1895/96 liczyły te zakłady razem 714 uczniów, z których 338 było katolickiego, 366 protestanckiego, a 10 żydowskiego wyznania. Mimo więc, że liczba katolickich mieszkańców w Księstwie jest przeważająca, wykazują seminarya nauczycielskie w Poznańskiem mniejszą liczbę katolickich wychowańców niż protestanckich. Nie jest to przypadek, tylko zasada. Między katolickimi seminarzystami Paradyża i Koyni znajdują się także młodzieńcy niemieccy nietylko z Księstwa, lecz także z Nasawii, z Westfalii i z Nadreńskiej prowincyi. Mają oni później kształcić młodzież polską.

Dla osłabienia zaś przypływu młodzieńców Polaków do preparandyi i seminaryów nauczycielskich i wzbudzenia w nich niechęci do obierania sobie zawodu nauczycielskiego, ma rejencya jeszcze inne i to bardzo skuteczne sposoby, między którymi pierwsze miejsce zajmuje zachowanie różnej miary przy wydzielaniu stypendyów, gdyż faktem jest, że preparandzi i seminarzyści niemieckiej narodowości odbierają obfitsze zapomogi z funduszów państwowych niż Polacy.

Chcąc wychować sobie nauczycieli zupełnie powolnych swym celom germanizacyjnym i godzących się we wszystkich punktach na praktykowany w obec dzieci polskich system szkolny, starają się kierownicy preparandyi i seminaryów nauczycielskich, stosując się do wskazówek rejencyi, stłumić w swych wychowańcach polskiej narodowości wszelką miłość do polskiego języka, wszelkie przywiązanie do polskiej literatury i do obyczajów ojczystych. Umieszcza ich się w otoczeniu niemieckiem, zakazuje mówić między sobą po polsku, każe ich współuczniom niemieckim strzedz i donosić w razie niestosowania się przez nich do tych przepisów.

Dzieła przeobrażenia ma dokonać wykład wszystkich przedmiotów, nawet religii w niemieckim języku, przesadne wielbienie pisarzy niemieckich, niedopuszczenie nawet jednej lekcyi polskiego języka dla uczniów Polaków i baczenie, by ukradkiem nie czytali książek polskich.

Cały ten system wykonuje się tak konsekwentnie, że można rzeczywiście śmiało twierdzić, iż tu jest jakiś cel i plan jasno wytknięty. Wychowując nauczycieli w duchu antypolskim, ułatwia sobie rząd wychowanie polskich dzieci w takim samym duchu. Jest to powolne zaszczepianie niemczyzny. Jasna ta sytuacya powinna pobudzić nas do obmyślenia sposobów skutecznej obrony.

Zresztą jednak unika rejencya zwykle wszystkiego, co nie jest powolną, żelazną pra-

MARZYCIEL

POWIEŚĆ

ZOFII KOWERSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Lerczewski nic nie mówiąc, stanął naprzeciwko żony i dziecka. Teresa była ubrana starannie, wypoczęta, wesoła. Jakiś wdzięk młodości i niewinności otaczał tę grupę pięknej matki bawiącej się z dzieckiem. Lerczewski patrzał ze zmarszczonem czołem, z wejrzeniem w którem malował się ból i zaciętość, rozpacz i srogość. Uśmiech Teresy znikł przed tem spojrzeniem. Przejął ją ten sam dreszcz nagły, jakiego zawsze doświadczała na dźwięk mężowskiego głosu. Myślała, że się rozpocznie krzyk i gniew z powodu jakiegoś zaniedbania się w gospodarstwie. Wzrok jej pytał:

— Co tam za nową przykrość mi przynosisz?

— Czegoż tak na mnie patrzysz jak na kata! — krzyknął Lerczewski.

— Przepraszam cię — zaczęła Teresa — nie wiem jak patrzę... to mimowolne...

— Ma nie czyste sumienie — pomyślał Lerczewski.

Przez chwilę jeszcze przyglądał jej się milcząc, potem wyszedł powolnym krokiem. Chciałby był w tej chwili ryknąć z bólu, silił się jednak na spokój. Dlaczego ona się go tak zawsze lękała? Nie umiał się obejść z tą istotą tak słodką i tak pełną dobrych chęci, a tak niedołężną! Spojrzenie jego bywało za ostre, głos za donośny na te pajęcze nerwy. Żeby przynajmniej mogła zajrzeć w jego serce i zobaczyć jak gorąco była kochaną! Ale on nie umiał gruchać słów miłośnych, a jej przestrach gdy się do niej zbliżał, wywoływał w nim zawsze gniew i zniecierpliwienie. Dlaczego on nie był wychowany tak, aby umiał mówić cicho i delikatnie, chodzić nie stukając obcasami, miarkować ostrość wejrzenia. Mógłby wtedy posiadać zaufanie Teresy, jej miłość.... Uśmiech nie znikałby z jej twarzy na jego widok... mogłoby być szczęście pod ubogim dachem jego domu! Przy takiem szczęściu praca choćby jeszcze większa, choćby jeszcze cięższa, byłaby rozkoszą... Unieszczęśliwiał żonę, unieszczęśliwiał siebie, ale co zrobić z grubemi palcami nie umiejącemi się obejść z delikatną zabawką i łamiącemi ją mimowoli. Czy ona jednak naprawdę go zdradzała? Jakieś uczucie żalu i pogardy dla Julki zrodziło się w nim, pomimo to oczekiwał wieczora szalejąc z niecierpliwości. Spotkawszy córkę płaczącą w ogrodzie, — mruknął przechodząc: „może już czas?“ — przytem rzucił jej spojrzenie, którego nigdy nie zapomniała w życiu.

— Nie jeszcze — odpowiedziała łkając.

Machinalnie poszedł na dziedziniec folwarczny. Spotkał Michasia na czele dziewek niosących w szafliku siekane chwasty dla świń. Poszedł za nim patrząc na jego gorliwość i pracę.

— Poprawiły się doskonale — mówiła jedna z dziewek, wykładając zieleninę z szaflika do koryta — takie walne robią się z nich wieprze!... A jak się panicz ożeni, to dopiero będzie na świecie szczęśliwa kobieta!

— No, no, — rzekł Michaś. — Już to język u ciebie Jewka, to dobrze wyprawny! Żeby tak ręce chętne były do pracy, jak on do gadania! Pamiętaj żebyś mi koło wieprzów dobrze chodziła, to ci czerwoną wstążkę na święta przywiozę... I żeby mi tu pani słuchać a nie martwić jej! Że pani nie umie łajać i przeklinać, to się każda opuszcza! Z wami to aby kij! Dobrego słowa żadna nie rozumie!

— O, panicz też tam także do kija! — zawołała Jewka.

Michaś wychodzący z chlewa spotkał się oko w oko z ojcem.

Lerczewski nigdy dzieci nie całował, chyba witając je lub żegnając, a i to nie zawsze i skąpo, pocałunek więc był mu niemożliwym. Żadna okoliczność nie mogła go wywołać. Położył więc tylko rękę na ramieniu Michasia i byłby się rozpłakał z żałości, — gdyby płakać umiał.

— Dobry z ciebie chłopak! — rzekł wzruszonym głosem.

Michaś rzucił się do jego ręki. Pochwała ojcowska uczyniła go w tej chwili najszczęśliwszym z ludzi.

Julka szukała ojca po dziedzińcu folwarcznym. Nie wyrzekli do siebie ani słowa, a jednak Lerczewski poszedł za nią. Ona drżała na całem ciele, idąc naprzód ze spuszczoną głową i doznając takiego uczucia trwogi, jak gdyby kroki dające się słyszeć za nią, były krokami człowieka, który na chwilę zanurzy w jej plecach nóż po samą rękojeść. Ah, Wanda miała słuszność!.. Nie trzeba było tak bez namysłu uczynić kroku, który mógł zachwiać spokój rodziny. Trzeba było ostrzedz Teresę, Tolskiego, a uszanować spokój człowieka, który tak widocznie cierpiał idąc za córką. Ona czuła całe bezdno jego boleści. W tej chwili stało się jej jasnem, że tak cierpią skazani prowadzeni na śmierć. Nie śmiała się odwrócić, za nic w świecie nie byłaby ojcu spojrzała w oczy. Ta droga od domu przez pola do lasu, z ojcem idącym za nią, była taką katuszą, że odpokutowała nią okrutny postępek, jakiego się dopuściła. Doprowadziła ojca do gęstwiny, z której można było obserwować wywróconą osinę a nawet słyszeć rozmowę siedzących na niej. Ukryci wśród leszczyn, jeżyn i wilczego łyka stali tam jak para zbrodniarzy czyhających na łupy. Lerczewski z oczami zaiskrzonemi oczekiwaniem, Julka płacząca cicho, przybita i upokorzona.

Po półgodzinie, która się nieskończonością Lerczewskiemu wydała, ujrzeli wśród zmroku zbliżającą się parę; kobietę z ręką wsuniętą pod ramię mężczyzny. Lerczewski się zachwiał, ale po chwili wstąpił w niego jakiś kamienny spokój. Czuł, że musiał wypić kielich aż do dna. Julka nie doznała uczucia tryumfu, jakiego się spodziewała. Strach jej nie opuszczał i ból, boleścią ojca spowodowany.

Ujrzana między zaroślami para rysowała się coraz wyraźniej. Lerczewski patrzał na zbliżające się nieszczęście swoje. Dawał się już rozróżnić przyciszony głos męski i kobiecy, wyglądało to na jakąś utarczkę, na wyrzuty czynione przez mężczyznę i tłomaczenie się kobiece.

— Scena zazdrości — pomyślał Lerczewski — ma już prawo czynić jej sceny zazdrości!

Stał nieporuszony. Julce się wydało, że się nagle stał obojętnym zupełnie.

Para zbliżała się do wywróconej osiny i zajęła na niej miejsce.

— Czekałam dziś długo na ciebie — ozwał się głos Wandy Pilawskiej.

Julka poruszyła się w krzakach, lekki krzyk wydarł się z jej ust. Lerczewski ścisnął jej rękę tak, że pozostały po tym uścisku sińce przez czas długi.

— Milczeć, podłe stworzenie! — szepnął rozkazująco.

— Wiem, wiem — mówił głos Wandy — masz zajęcia dużo w niedzielę... mówiłeś mi, że to dzień praktyki włościańskiej... ale to tak przykro czekać... to taka męka!

Jasna głowa dziewczyny pochyliła się ku ramieniowi Tolskiego.

— Niech się pan nie odsuwa — szepnęła Wanda — dla uratowania spokoju Teresy! Czy pan słyszał krzyk Julki?

Potem odezwała się głośno:

— I ja dziś nie mam czasu na długą rozmowę, ale wystarcza dla mnie widzieć cię choćby przez chwilę! Rodzice moi się spostrzegli, że moje wieczorne, konne przejażdżki trwają za długo. Podejrzewają coś... Wiem, że mógłbyś o mnie starać się otwarcie, ale ta tajemnica... ta cisza wśród której się kochamy, ma dla mnie urok niepojęty... Zawsze będzie czas na staranie się wedle prawideł... przyjdzie zima... tymczasem korzystajmy z rozkoszy tego lata... z dyskretnych drzew, które nas otaczają i nic nie powiedzą ciekawym ludziom.. Wiesz, ja nawet Julce, z którą jestem w takiej przyjaźni, nic nie powiedziałam!.. zachowajmy jeszcze tajemnicę!... Jeszcze choć miesiąc!... Bądź zdrów! Jutro będę tu z pewnością, może trochę później niż dzisiaj... Bądź zdrów! Bądź zdrów!

Znowu pochyliła się ku niemu.

— Niechże mię pan pocałuje w rękę! — szepnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

są germanizacyjną, strzeże się na tem polu wybryków, które z naszej strony znajdują zawsze dosadny i skuteczny odpór. Osławionego inspektora szkolnego ze Śmigla Hasemanna, który napisał pseudodowcipny list do *Gońca Wielkopolskiego* chełpiąc się swoim niemieckim patryotyzmem — złożono z urzędu. Zaś z powiatu jarocińskiego przesiedliła rejencya jakiegoś gorliwego nauczyciela, który gwałtem wkraczał w atrybucye miejscowego polskiego proboszcza i chciał dziatwie szkolnej wbrew zezwoleniu władz narzucić modlitwę niemiecką.

Z powodu owego wypadku zamieściły *Deutsche Ztg.* a za nią *Posener Tageblatt* szumny artykuł p. t. „Fanatyzm polskiego księdza", w którym opisawszy rzecz tendencyjnie, domagają się w odwet złożenia owego księdza z urzędu inspektora religii. A oto jeszcze jeden wybryk niemieckiej prasy. Do organów hakatystycznych nadeszła korespondencya z Ostrowa, w której autor, a raczej autorzy, kupcy niemieccy, uskarżają się na ogromny ucisk niemieckości w Ostrowie. W rzeczy samej zaś chodzi o to, że Polacy tamtejsi przestali już być owcami podatnemi do strzyżki, nie kupują u Niemców — *et hinc illae irae*. Wrzeszczą tedy Hakatyści ostrowscy, że „jak wszędzie na kresach wschodnich" tak i w Ostrowie bezwzględne rozszerzanie się polskości, Niemcom nie zdołać niemieckim „Michałkom" (Michel). Kupców i rzemieślników ostrowskich wypierają coraz to skuteczniej ich rywale polscy. Na cały Ostrów liczący z górą 10 tysięcy mieszkańców znajduje się „tylko" jeden krawiec niemiecki, dwóch szewców niemieckich, trzech niemieckich handlarzy materyj a i na tem koniec. Wszystko zagarnęli Polacy, którzy nadto zmuszają lud do zakupywania u swoich. Tym sposobem kupcy i rzemieślnicy Niemcy nie mogą w Ostrowie znaleźć utrzymania i zmuszeni są wynosić się w okolice niemieckie. Ażeby Niemców gwałtem zatrzymać w Ostrowie, założono tamże spółkę HKT. Ale o zgrozo, „niecnotę restauratorowie (czyż to nie kupcy?) — z ubolewaniem odmówili nam lokalu, uzasadniając odmowę obawą, że utraciliby klientelę polską". Buńczuczni szermierze niemczyzny skazani na tułaczkę, zajęli tedy „maleńki pokoik" u hotelisty „rzetelnego Niemca", cóż kiedy ów hotelista bankrutuje, Polacy ostrzą sobie zęby na hotel i zamierzają oddać restauracyę w dzierżawę Polakowi. W takim niebezpieczeństwie przyszedł widocznie owemu hoteliście szczęśliwy pomysł do głowy, by wymyślić przy pomocy spółki wygrzebać się z błota ruiny materyalnej. Skomponowano tedy ten szumny a zarazem jałowy „okrzyk uciśnionych Niemców ostrowskich", który kończy się skromną prośbą o nadesłanie zapomóg dla biednego hotelisty na ręce przewodniczącego spółki, królewskiego inspektora robót kolei żelaznych Waltera. Zbyteczna dodawać, że prasa niemiecka gorąco popiera tę „patryotyczną" żebraninę, byle tylko przy tej sposobności szczuć na Polaków.

W pierwszych dniach przyszłego miesiąca sprzedany będzie na publicznej licytacyi jeden z największych majątków ziemskich W. Ks. Poznańskiego, a mianowicie obejmująca przeszło 5000 morgów ziemi, Ludomska Dąbrówka, miejsce śmierci Karola Marcinkowskiego. Poruszono myśl, aby majątek ten nabyło konsorcyum obywateli tutejszych. Podług wszelkiego jednak prawdopodobieństwa skończy się, jak zwykle u nas — na projekcie, a Dąbrówkę nabędzie założony w roku zeszłym przez towarzystwo szerzenia niemczyzny na wschodnich kresach monarchii pruskiej „landbank", który kupił już znaczną część długów prywatnych, spoczywających na tym majątku.

Kilka słów o stylu zakopańskim.

Warszawa 9 czerwca.

Wystawie umeblowań stylowych zawdzięczamy sposobność poznania zupełnie nowego i odrębnego stylu z innymi nic wspólnego nie mającego. Jest nim styl zakopański.

Nie tak dawno jeszcze Zakopane było nieznanym prawie, zapadłym kątem, dokąd nikt stale prócz Chałubińskiego i Eljasza nie dojeżdżał. Lud od reszty świata odcięty, z natury artystycznie uzdolniony przechowywał w zupełnej czystości stare swoje motywy ornamentacyjne, gdyż prócz nich nic nie widywał w swoim otoczeniu. Stare, rodzime motywy ornamentalne były o tyle swojskie, że w tym samym charakterze i zdobił niemi wszystko, co tylko dało się zdobić ornamentem. Odrzwia domów, belki pułapów, szczytowe zakończenia dachów, zwane „pazdurami", stołki, zydle, stoły, sanie i wozy, poporzyska i grabie, czerpaki na mleko, parzenice i oszczypki na sery, obońki na wodę, kijanki do prania, maglownice, kądziele, trzonki łyżek i okładki nożów, gęślice i fajki: wszystko co tylko brał lud w rękę podpadało, ozdabiał motywami zdobniczemi.

Dziś nawet kiedy już tyle lasów wycięto, górał więc z natury rzeczy musiał się zająć innym rodzajem roli, która go prawie zmusza się opłacać chudym owsem i marnemi ziemniakami, górali nawet kiedy niemal górał jeżeli tylko ma po temu zmyślność i ochotę dobywa noża i strugać w drzewie. Tak więc musiało się snycerstwo wyrobić, i wyrobiło się wspaniale.

Świadczy o tem najlepiej w mowie będąca wystawa, na której ostatnia sala przepełniona jest oryginalnymi starymi okazami. Nie ma sprzętu, nie ma narzędzia, któreby niemniej charakterystycznych miejscowych form i nie było pokryte ornamentami od góry do dołu. Krótka tutaj tytuł, one robiła do zakopańskiego, gdzie w Zakopanem się pozbogacili i najpiękniej zdobiony, który się później w dalszym rozwoju stylu zakopańskiego doznał rozbudzenia motywów i odegrał największą rolę.

W ogóle ornamentyka zakopańska jest przeważnie liniowa, a więc gwiazdy i rozety, koła i krzyże, zębki i pasy wszelkiego rodzaju. Występują także i roślinne motywy, które jednakże nie są naturalistyczne, sprowadzone do kilku zasadniczych linii. Z roślin miejscowych dostarczała materyału ornamentacyjnego „złotogłów" czyli szczerwona biało najbardziej liliowa, dzwonek, gdyż „Pazdur", czyli kwiaton, złotego szczytowy rog dachu, przypomina czasem błękitny kwiat gencyany. Szarotki, rzecz dziwna, nie spotyka się w ornamentyce zakopańskiej.

Ciekawego charakterystycznego motywu dostarcza ucho czerpaka, czyli skopca na mleko. Sam czerpak, rzadko kiedy zdobiony, ma kształt naczynia i więc bardzo prosty — a to ucho bywa zdobione nader bogato. Najczęściej skręca się ono w ślicznej wolucie, przypominającą zagięciem swoim po części róg barani, po części główki dziób weneckiej gondoli. Ucho to na całej powierzchni jest zazwyczaj pokryte bogatemi linearnemi ozdobami i miewa w dolnej swej części kilka okrągłych otworów. Czasem zamiast jednej woluty czerpak miewa dwie, zwrócone w tę samą stronę i związane w górze rozetą.

Okazy, nadesłane przez szkołę rzeźbiarską, stoją na samym końcu dużej sali, na wstępie do działu zakopiańskiego. Mniej czyste pod względem stylowym i mniej pomysłowe, co do zużytkowania pierwotnych form góralskich, wyroby te mają tę charakterystyczną cechę, że występuje w nich polichromia, której nie ma prawie w okazach Witkiewiczowskich. Polichromia ta jest jednak zupełnie zgodna z duchem stylu zakopańskiego: na jednem ze starych krzesełek, jakie się znajdują w ostatniej salce, widzieć można ślady wypełzłych barw, które niegdyś ożywiały ornament. Szkoła polichromię tę traktuje z wielką prostotą, używając zaledwie kilku kolorów i trochę złoceń. Na jasnem tle drzewa wygląda to zupełnie dobrze.

Jako całość wzięta, dział mebli zakopiański przedstawia się nader zajmująco. Miałem sposobność przez szereg lat oglądać w Zakopanem doroczne wystawy rzeźbiarskie i dlatego teraźniejsza wystawa w Warszawie nie była dla mnie zupełną nowością. A jednak na każdym kroku spotykały mnie niespodzianki. Trudno mi było własnym oczom wierzyć, jak szybko i śmiało styl zakopański posuwa się naprzód. Zapewne, iż dziś jeszcze bez opieki i poparcia tej garstki ludzi, która jego rozwój wzięła w swoje ręce, mógłby się jeszcze skrzywić i wypaczyć, ale bądź co bądź stanął już na pewnej wysokości, która pozwala, bez optymistycznych złudzeń, rokować mu wcale piękne nadzieje. Oczywiście byłoby śmiesznością przypisywać stylowi zakopańskiemu takie znaczenie, jakie ma renesans albo barok. Z natury swojej, z pochodzenia i z materyału, w jakim się wytworzył, nie może on mieć charakteru monumentalnego. Ale jako styl drewniany, styl na wille, dworki, szalety, kioski może wyprzeć zupełnie tę nudną, szablonową szwajcarszczyznę; jako styl meblowy będzie kiedyś mógł zwycięsko współzawodniczyć ze staroniemieckim! wreszcie na polu przemysłu galanteryjnego dziś już wydaje styl zakopański śliczne drobiazgi, z któremi równać się nie mogą tyrolskie wyroby drewniane. Obecnie wszystko zależy od naszego społeczeństwa, czy będzie chciało pójść za przykładem owych kilku ludzi dobrej woli i czy należycie poprze ich usiłowania?

KRONIKA.

Lwów 20 czerwca.

Rektorem uniwersytetu lwowskiego wybrano wczoraj dra teologii ks. Józefa Komarnickiego, obecnego dziekana wydziału teologicznego.

W sekcyi rolniczej na wiecu w dniach 8 i 9 lipca wygłoszone i przedyskutowane zostaną referaty następujące: 1. „O asocyacyi w rolnictwie", referent dr. Stanisław Dąmbski; 2. „O stosunkach kredytowych i o lichwie", referent dr. Leopold Caro; 3. „O emigracyi ludności rolniczej", referent prof. poseł Anatol Wachnianin; 4. „O utrzymaniu i rozszerzeniu średniej i mniejszej własności rolnej", referent p. Stefan Sękowski; 5 „O czeladzi w gospodarstwach rolnych", referent Kazimierz hr. Szeptycki. Oprócz właściwych referentów będą także korreferenci.

Fundusz gimnazyum w Cieszynie wynosi z końcem maja 102.977 zł. W ubiegłym miesiącu wpłynęło do kasy 513 zł. 72 ct. Fundusz stypendyjny wynosi 8450 zł. 49 ct.

Konkurs na posadę dyetaryusza do prowadzenia registratury z płacą 25—30 zł. rozpisuje starostwo w Żółkwi. Posada obsadzoną będzie z dniem 1 lipca.

Wiadomości dyecezyalne. Dyecezya przemyska: Instytuowany na probostwo w Przeczycy ks. St. Konopacki, wikary w Kołaczycach. Przeniesieni: ks. K. Kochmański, administrator z Przeczycy do Górna jako wikaryusz i ks. Fr. Małek, wikaryusz z Sieniawy do Kołaczyc. — Dyecezya tarnowska: Przeniesieni: ks. Marcin Zaczek ze Zbylitowskiej góry do Mszany dolnej, ks Franciszek Wojtanowski z Mszany dolnej do Łącka Otrzymali dwumiesięczny urlop celem poratowania zdrowia: ks. Bartłomiej Łaś, wikary z Bobowej, ks. Władysław Kopernicki, wikary z Łącka. Nadto wyjechali na kuracyę ks. Józef Smetana, proboszcz z Mielca, ks. Ludwik Kozik, proboszcz z Dąbrowy, ks. Jan Duszyński, proboszcz z Rajbrota, ks. Edward Ropski, proboszcz z Chomranic.

Śledztwo przeciw fabrykantom kart do grania. Pierwsze austro-węgierskie akcyjne Towarzystwo dla fabrykacyi kart do grania w Budapeszcie ogłosiło tymi dniami bankructwo. Jeszcze przedtem pokazało się, że karty z tej fabryki były znaczone dla użytku szulerów. Władze zarządziły śledztwo, które wykryło, że w Towarzystwie panował ogromny nieład, a zarząd dopuszczał się oszustw na szkodę skarbu państwa. Fabrykantów skazano na 69 000 zł. kary.

Dola oficyalistów wiejskich. Z powodu zamieszczonego przez nas w łamach *Przeglądu* artykułu p. t. „Dola plebanów wiejskich" otrzymaliśmy następujący list:

Szanowny autor, porównując dolę plebanów z dolą oficyalistów, kieruje się przesadnemi wyobrażeniami o korzystnych warunkach bytu oficyalistów. W rzeczywistości dola nasza nie jest wcale różową. Przedewszystkiem nie mamy tych praw i ubocznych dochodów, o których wspomina autor. Mylnem np. jest twierdzenie, że oficyalista ma do rozporządzenia wszelką zwierzynę, jak: zające, kuropatwy i kapłony dworskie. Zające i kuropatwy stanowią przysmak, ani słowa! Należy nadmienić, że polowanie na gruntach dworskich idzie na utrzymanie dworskiego stołu. Co się tyczy kapłonów, to zwykle nie ma ich czem karmić; bo kto ma rocznie 24 do 30 korcy ordynaryi (na miarę, nie na wagę) i musi z tego żywić siebie, żonę, kilkoro dzieci, sługę i choć dwie sztuki trzody, dla tego utrzymanie własnego drobiu jest zbytkiem, a nie dochodem. Zaś o „dworskich" kapłonach nie może być ani mowy, bo przecież — jako dworskie — stanowią własność dworu, a oficyalista rozporządzać nimi nie może, równie jak np. pleban nie może rozporządzać kasą kościelną. Szanowny autor miał może na myśli plenipotentów i rządców? Ale takich mamy bardzo mało, bo zaledwie kilku w wielkich dobrach książęcych i hrabiowskich.

O, nie kuropatwami żywimy się, lecz chlebem zapracowanym w pocie czoła! Jesteśmy zależnymi od humoru i kaprysu naszego służbodawcy, który często wydaje sprzeczne rozkazy, a każdej chwili oddalić może. Wstajemy o trzeciej rano przez cały czas służby, a kładziemy się spać o jedenastej w nocy. Dzień cały spędzamy w polu na deszczu, na upałach słonecznych, a w zimie stoimy na mrozie w stodołach lub spichrzach. Wróciwszy do domu, piszemy drżącą ręką rachunki i konsygnacye.

Za tę ciężką pracę cóż ma oficyalista? Oto 24 do 30 korcy zboża na miarę, 200 do 300 zł. rocznie, kawałek pola pod kartofle, i pomieszkanie, składające się po największej części z kuchenki i dwóch dziur, noszących nazwę pokoi. W zimie często trzeba z pensyjki drzewa dokupić, bo dwór nie da tyle, żeby należycie opalić mieszkanie; a i w lecie trzeba znieść niejedną przykrość. Bo oficyny, w których mieszkamy, to domek gdzieś tam w pobliżu obór i stajni, a nie wśród ogrodu, jak plebański.

Mamy rodziny i możemy spędzić w domu miłe chwile, jak to szanowny autor twierdzi. To prawda. Ale jakże drogo musimy opłacać te chwile! Ta rodzina, będąca źródłem pociechy, jest przecież także źródłem ustawicznych trosk i kłopotów; a gdzie niedostatek, tam często i niesnaski, i już po szczęściu rodzinnem! — Ksiądz jest sam jeden, więc ma byt zapewniony i pensyjkę jaką taką do śmierci. Są proboszczowie, którzy wyposażają krewne lub kuzynki, i sami mają dosyć. Ale oficyalistów tak szczęśliwych nie ma. My nie możemy dać posagu córkom, wykształcić własnych synów, nie możemy myśleć o ratowaniu własnego i żon naszych zdrowia, o wyjeździe do kąpiel... bo nas na to nie stać. A przecież i my mamy tysiące sposobności do chorób: możemy się przeziębić, skaleczyć itd.; i nasze ciało nie z żelaza. Gdy zaś nadejdzie starość i — co za tem idzie — niezdolność do pracy, wtedy co czeka? Kij i torba, bo o łaskawym chlebie na prywatnej posadzie chyba wstyd pomyśleć. A wreszcie kapłani już powołaniem swojem stoją wyżej nad troski codzienne, i w służbie bożej znajdują ukojenie; my zaś tak szczytnego zajęcia nie mamy... my sobie ludzie zwykli, żyjący z dnia na dzień, bez tej wewnętrznej pociechy, mający rodziny na barkach i pracujący od świtu do nocy na cudzej niwie *Z. K.* z pod Tarnopola.

Karty wstępu. Ze względu na ograniczoną ilość miejsc w salach obrad wiecowych, oraz na krótki termin oddzielający nas już od Wiecu, mamy zaszczyt uprzejmie niniejszem prosić wszystkie P. T. osoby pragnące wziąć w nim udział, by możliwie jak najwcześniej o karty imienne uczestnictwa (w cenie 3 zł. dla panów a 2 zł. dla pań na galeryę na wszystkie posiedzenia) zgłaszać się raczyły do biura informacyjnego IIgo Wiecu katolickiego we Lwowie hotel Imperial ulica Trzeciego Maja, lub też do Komitetów dyecezyalnych: w Krakowie (p. adr. hrabia Karol Scipio Tow. ubezpieczeń), w Tarnowie (p. adr. ks. prałat Józef Bąba), w Przemyślu (p. adr. pan radzca sądu dr. A. Bieńczewski) i w Stanisławowie (p. adr. ks. mitrat Bazyli F.ciewicz). Adres Komitetu dyecezyalnego w Czerniowcach ogłoszony zostanie w najbliższym czasie. Termin wydawania biletów upływa z dniem 3-go lipca

Komitet II-go Wiecu katolickiego we Lwowie.

Defraudacye soli. W Wieliczce wykryto, że kilka indywiduów mojżeszowego wyznania od dłuższego już czasu robiło dobre interesa na kupowaniu soli od robotników salinarnych. Wydelegowany do Wieliczki komisarz skarbu Józef Wilkoś zarządził szczegółowe rewizye u poszlakowanych, przesłuchał wielu świadków, a wynikiem tego było zaaresztowanie tych indywiduów, które nieuczciwem rzemiosłem podkopywały uczciwość i dobrą dotychczas sławę robotników wielickich.

W sprawie praktykantek nauczycielskich piszą nam z prowincyi:

Artykuł *Przeglądu* z dnia 14 czerwca b. roku „W sprawie nauczycielek lwowskich" skłonił mnie do napisania kilku uwag, dotyczących również tej sprawy.

Los, który praktykantki lwowskie, skutkiem rozporządzenia Rady szkolnej czeka, zgotowały one sobie same przez swe niczem nieprzepartą niechęć zostania nauczycielkami na prowincyi i staranie się wszelkiemi sposobami o pozwolenie otrzymania praktyki w szkołach lwowskich. Powodem niby tego jest, że „praktykantki związane są ze Lwowem stosunkami rodzinnymi, tudzież, że młody ich wiek na wyjazd na wieś im nie pozwala!" Ja byłam najmłodszą z pośród koleżanek moich, rodzinę całą mam we Lwowie, zresztą w żadnym zakątku Galicyi ani jednej znajomej duszy, umysłowe moje zdolności były dość silne, a pragnęłam bardzo kształcić je wyżej, prowadzić dalej naukę języków, którą zaczęłam itd, dodam to nawet, że nigdy z pod opieki rodzicielskiej nigdzie nie wyjeżdżałam, i pomimo tych wszystkich względów poszłam na nauczycielkę do miasteczka, dla tego, że wiedziałam, jak długo we Lwowie na rangę nauczycielki czekać trzeba.

Wartoby zatem, aby panie, które kończą seminaryum, zebrały trochę odwagi i spróbowały zacząć praktykę w zawodzie swoim na prowincyi. Trochę się pocierpi, ale za to zadanie życia treściwsze i jaśniej określone.

Nielitościwem i samolubnem wydaje mi się powiedzenie, jakoby praktykantki lwowskie powinny mieć pierwszeństwo przy obsadzaniu posad nauczycielek rzeczywistych, ja myślę, że pierwszeństwo przypadałoby najzdolniejszym, najpracowitszym, których praca dawałaby rękojmię, że szkoły lwowskie staną na pożądanie wysokim stopniu. A czyż takie nie znalazłyby się i na wsi lub w miasteczku? — a energii ich dowodem jest właśnie to, że mimo wszystkich wyżej wymienionych względów odważyły się na opuszczenie miasta. Lecz nie — która z nas podejmie się pracy na prowincyi, już podpisała na siebie banicyę na zawsze z miasta. My trawimy nasze najmłodsze lata w zaciszu prowincyonalnem i serdeczną pracę dajemy w tej nadziei, że po jakimś czasie uznanie za wytrwałą i skuteczną pracę otworzy nam drogę do posady w mieście, gdziebyśmy szersze pole dla umysłowego życia mieć mogły — i wiara nasza gorzko zawiedzioną zostaje, bo posady takie są dla praktykantek miejskich! Ty więc nauczycielko wiejska lub małomiasteczkowa z niemi się nie mierz, bo na twoje żądanie ramionami wzruszą, choć możesz mieć także wszystkie egzamina i możesz być, Bóg wie, jak zdolną.

Że praktykantki lwowskie „z prawdziwym niedostatkiem" często walczyć muszą, jest to maleńka przesada, bo przedewszystkiem, są to córki majętniejszych rodziców, (gdyż biedne bez ceremonii idą na wieś) mają protekcyę która im przecie pozwolenie praktyki wyrobiła, mają po części adyutum, lekcye prywatne, a przy całkowitem utrzymaniu w domu rodzinnym, zarobione pieniądze obracać mogą na książki, przyjemności, rozrywki, a choćby i stroje. Praktykantki z niedostatkiem walczącej, ja nie znam ani jednej, mimo, iż mam dość rozległe między niemi znajomości.

Myślę zatem, że usunięcie pewnej części praktykantek lwowskich, nie „pozbawiłoby jeszcze stolicy najlepszych sił", a przytem dałoby nauczycielkom z prowincyi większą możność otrzymania też kiedyś posady w mieście, sprowadziłoby zrównanie praw naszych z prawami mieszkanek miasta, a co może najważniejsze: wyszłoby na dobre tylu zamkniętym lub w nie należytej liczbie obsadzonym szkołom typu niższego, przyczyniającym się swem milczeniem, do tego smutnego, ogromnego zastępu analfabetów w Galicyi.

Jedna z nauczycielek z prowincyi.

Stan zasiewów. Z Buczackiego nam piszą: Po trzyletniej klęsce zapowiadają się żniwa w tym roku bardzo dobrze w powiatach buczackim i zaleszczyckim; zacząwszy od Trybuchowiec, Rzepiniec i Nowosiółki są one śliczne aż do Tłustego, — zaś Kadłubiska, Głęboka, Stara, Koszyłowce, Duliby, Torskie i Rożanówka mają żyta i pszenice takie, że najstarsi gospodarze nie pamiętają tak przepysznych urodzajów. Tak samo owsy, jęczmiona, grochy są piękne, tylko jest obawa czy kartofle dopiszą, gdyż przez częste słoty w maju zostały późno zasadzone. W niektórych miejscowościach żyto przechodzi dwa metry wysokości, pszenica jeszcze nie całkiem wykłoszona, a jest ogromna. Prawda, że to ziemia nadzwyczajna i uprawa roli wzorowo prowadzona przez tamtejszych obywateli, jednakowoż w ostatnich kilku latach tyle klęsk było a w ostatnim zwłaszcza roku przez myszy, że dziękujemy Bogu za zapowiadający się tak świetnie zbiór, byle nas raczył ochronić od klęsk gradowych.

Zabawy w „Skale". Cichą, a jednak obfitą w owoce, prawdziwie zbożną działalność rozwija istniejące od lat czterdziestu stowarzyszenie katolickiej młodzieży rękodzielniczej „Skała" we Lwowie. Członkowie tego stowarzyszenia, ktorych jest z górą pół tysiąca, tworzą jakby jedną wielką rodzinę, wszyscy się kochają i poważają wzajemnie, każdy dumny jest z tego, że należy do „Skały". Korzyści bowiem są nieocenione. Młodzież rzemieślnicza uzupełnia tam swoje wykształcenie fachowe, w razie choroby każdy członek ma zapewnioną pomoc lekarską i zasiłek, w razie nieszczęścia towarzystwo przychodzi mu z pomocą, a i na starość, gdy już mu sił do pracy zbraknie, w „Skale" znajduje podstawę do egzystencyi. Dbając o dobro materyalne swych członków, nie zapomina „Skała" także o ich potrzebach duchowych. To też co niedzielę w pięknym ogrodzie własnym przy ul Mickiewicza, a w zimie we własnej sali urządza zabawy towarzyskie, które prawdziwie za wzór posłużyć mogą, jak katolicka młodzież powinna się bawić. Główną siłą przyciągającą tych zabaw jest teatr amatorski. Występują w nim sami rzemieślnicy, członkowie „Skały", tudzież ich córki, a przedstawienia idą tak gładko, że człowiek zapomnieć może, iż to nie zawodowi aktorzy grają, ale amatorowie, ludzie ciężkiej pracy, którzy wolne od zajęć chwile poświęcają na to, aby swym rodzinom i swym kolegom uprzyjemnić zabawę. Jutro np. odegrają amatorowie „Skały" obrazek dramatyczny Przybylskiego pt. „Fotografia Jędrusia", tudzież sztukę ludową ze śpiewami i tańcami pt „Przybłęda".

Na zabawy w „Skale" przychodzą często wybitni dygnitarze i każdy z nich unosi jak najmilsze wspomnienie. Ś. p. marszałek hr. Jan Tarnowski często całe godziny spędzał w „Skale" w gronie rozbawionej katolickiej młodzieży rzemieślniczej.

W tym roku „Skała" obchodzić będzie czterdziestoletni swój jubileusz. Daj Boże aby z każdym rokiem wzrastała i potężniała na pożytek społeczeństwa polskiego.

Pastwisko na cmentarzu łyczakowskim. Ogólne oburzenie wśród osób zwiedzających groby na cmentarzu łyczakowskim wywołuje bezprawie, jakiego się tam służba dopuszcza. Oto na grobach w pobliżu grobowca śp. Barczewskich pasą się codziennie dwa konie i krowa. Władze, które czuwać mają nad zachowaniem porządku na cmentarzu, prosimy, aby co rychlej zapobiegły temu świętokradztwu.

Wykopaliska archeologiczne. Przy kopaniu fundamentów pod dom pana Goetza-Okocimskiego w Krakowie przy ulicy św. Jana natrafiono w ziemi w głębokości kilkunastu metrów na odrzwia gotyckie, ornamenta renesansowe, gzymsy i konsole.

Zakaz immigracyi. Brazylijski konsul w Genui otrzymał od swego rządu telegraficzny rozkaz niedopuszczania do emigracyi do Brazylii wychodźców galicyjskich, nawet tych, którzy pragną podróż odbyć na własne koszta.

Emigracya Poznańczyków do Galicyi. W *Kraju* petersburskim czytamy:

„Między głosami, dolatującymi nas z nad Noteci i Warty odzywa się niekiedy głos złej wróżby, mówiący nam o omdleniu umysłowem Wielkopolski, o wyczerpaniu się siły, stwarzającej talenty, o wyjałowieniu gleby, która wydawała Libeltów, Potworowskich, Marcinkowskich, Niegolewskich, Mielżyńskich, Kantaków. Nie łatwo nam uwierzyć w tak nagłe przerodzenie się społeczeństwa. Nie chętnie zgodzilibyśmy się na hipotezę, że dzieci, obdarzone zdolnościami, przestały się rodzić nad Gopłem, a zaczęły natomiast przychodzić na świat nad Dunajcem, Sanem i Strypą. Jesteśmy raczej zdania, że materyał jest tu i tam niemal jednakowy, a tylko warunki są odmienne i one to pozwalają wybijać się w jednej dzielnicy jednostkom, które nie mogą wybić się w drugiej.

„Dla pocieszenia tych, którym nasz pogląd zbyt różowym się wyda, zaznaczymy tu objaw bardzo znamienny, a dotychczas nie dosyć może uwzględniany. Mam tu na myśli emigracyę inteligencyi poznańskiej do Galicyi.

„Nie ma ani jednej chyba dziedziny, na którejby w Galicyi nie pracowało z powodzeniem kilku Wielkopolan. W uniwersytecie jagiellońskim filozofię wykłada X. Stefan Pawlicki, ekonomię p. Milewski, teologię X. Chotkowski, okulistykę p. Wicherkiewicz, filologię p. Morawski. Jakkolwiek przybyłego nie z Księstwa, lecz z Prus, musimy i p. Rydygiera, profesora chirurgii, także do tej zaliczyć grupy.

„Uniwersytet lwowski ma reprezentantów zaboru pruskiego w osobach prof. Cwiklińskiego, filologa, prof. Danysza, bardzo zdolnego pedagoga, prof. Ciesielskiego, botanika, i prof. Dembińskiego, historyka. Szkołą rzemysłową we Lwowie kieruje p. Gorgolewski, na czele skarbowości galicyjskiej stoi p. Korytowski, na czele budownictwa rządowego p. Moraczewski. Na polu architektury zajął tam niepoślednie stanowisko jeszcze jeden Poznańczyk, p. Hochberger. A któż nie słyszał o p. Zamoyskim w Zakopanem i jego czcigodnej matce? Z publicystów wymieniamy jednego tylko p. Kasprowicza.

„Emigracya ta ma dobre strony, ma też i złe. Galicyę zasila, Wielkopolskę osłabia. Dla nas jest ona dowodem, że siły znalazłyby się w Poznańskiem, gdyby miały warstat do pracy".

O katastrofie na kolei napowietrznej w Budapeszcie otrzymał *Dziennik Polski* następujące szczegóły: „Dnia 17-go b. m. po godzinie 11-tej wieczór zdarzyło się wielkie nieszczęście na parowej kolei linwowej w Budzie. Przy przewożeniu gości, którzy uczestniczyli w recepcyi u prezesa gabinetu Banffyego, jeden wóz idący z góry, rozbił się w drzazgi skutkiem gwałtownego zderzenia się z dolną zaporą, podczas gdy w tym samym czasie wagon idący w górę przez analogiczne zderzenie się z górną zaporą silnie został uszkodzony. Kilka osób doznało obrażeń ciała i kontuzyi, dwie zostały ciężko pokaleczone... Gdy wysłannicy policyi, w 10 minut po wypadku, przybyli wraz z funkcyonaryuszami ochotniczej stacyi ratunkowej na jego widownię u dołu, zastali gromadkę ludzi jęczących, a niektórzy z nich krwawili silnie. Służba kolejowa z przerażenia nie mogła słowa jednego wydobyć z siebie. Tuż przed zaporą leżał wagon, literalnie na sztuki rozszarpany — obraz, jaki się widuje tylko na ilustracyach, przedstawiających zderzenie się dwu pociągów. Stopniowo zapanowywał ład jakiś w tym chaosie. Straż ratunkowa zakrzątała się około rannych, przyczem wyszło na jaw, że większość ich doznała na szczęście lekkich jeno kontuzyi i zdarcia naskórka. Jeden z nich tylko leżał na pół nieprzytomny. Był to wiedeński korespondent londyńskiej gazety *Daily Chronicle*, dr. Jan Horowitz, który doznał wstrząśnienia silnego i niezwłocznie przeniesiony został do centralnej stacyi Tow. ratunkowego. Gdy się to wszystko działo na dolnej stacyi, nadeszła wiadomość z górnej, że i tam znajduje się niestety jeden ciężko ranny. Jak się później okazało, był to p. Prileszky, sekretarz dworu, który sam jeden znajdował się w wagonie, idącym do góry i doznał złamania nogi w kostce. W wagonie, strzaskanym na dole, znajdował się także jeden z budapeszteńskich dziennikarzy, dalej A. Schibsted, naczelny redaktor chrystyańskiej *Aftenposten*, dyrektor poczt i telegrafów w Portugalii, Ern. Madeira Pinto z Lisbony i pan Clerici z Medyolanu. Wszyscy oni nabawili się jeno, prócz strachu, lekkich obrażeń skóry. Dotkliwiej pokaleczony został p. Valero, dziennikarz z Medyolanu, któremu drzazgi szkła, policzki i czoło silnie poraniły. Z wysłanników polskiej prasy nie było tu nikogo, wszyscy bowiem w dorożkach opuścili byli salony węgierskiego premiera. Przeprowadzone niezwłocznie śledztwo sądowo-policyjne wykazało, że sprawcą nieszczęścia była wyłącznie służba kolejowa. Zazwyczaj kursują wagony do godziny pół do 11-tej wieczór, dziś jednak z uwagi na recepcyę u br. Banffyego utrzymano komunikacyę do g. 11.

Punktualnie o tej godzinie zastanowiono ruch wagonów, poczem maszynista się oddalił, a w domku maszynowym pozostał tylko palacz Tapolyi, celem zgaszenia ognia na palenisku i wypróżnienia kotła parowego. Reszta personalu służbowego gotowała się również do rozejścia, gdy w tem usłyszano wrzawę na górnej stacyi. Zjawiła się tam była gromadka osób, domagających się natarczywie przewiezienia. Konduktor tam obecny jeszcze, zapytał też funkcyonującego na dole dozorcę, czy możliwem będzie jeszcze urządzić jedną jazdę. Dozorca wahał się zrazu, lecz w końcu przekonany słowami prośby i zachęty z góry, uległ i wbrew regulaminowi zgodził się na ten „ekstra" pociąg, wołając do palacza: „Pojedziemy tedy raz jeszcze!" Palacz opierał się początkowo, wymawiając się, że nie jest z obsługą maszyny dostatecznie obznajomiony. „Jakoś to pójdzie" — uspokajał go dozorca. Gdy przeto konduktor z górnej stacyi dał znak, że wagon literalnie zapełniony, gotów już do odjazdu, chciał ze swej strony dozorca na dole dać palaczowi sygnał do puszczenia maszyny w ruch, w ostatniej jednak chwili zjawił się sekretarz dworu Prileszky, który widząc wagon, szykujący się do odejścia w górę, szybko wskoczył do niego. Teraz dopiero puścił palacz maszynę. Zrazu wszystko szło w porządku, po kilkunastu jednak sekundach, koło, nawijające linwę, zaczęło z niebywałą szybkością się obracać... Równocześnie naturalnie wagon, idący z góry, pędził ku zaporze dolnej z piekielnym pośpiechem, a tak samo działo się z wagonem ciągnionym z dołu na górę. Palacz usiłował wprawdzie zatrzymać maszynę i zahamować oba wagony, ponieważ jednak nie miał należytej ku temu wprawy, wszelkie wysiłki jego były bezowocne. Po upływie kilku sekund podwójna straszna detonacya napełniła powietrze: na dole i na górze oba wagony zderzyły się z kolosalną siłą z umieszczonemi tam zaporami. Krzyki i jęki rozdarły powietrze — a resztę już powyżej podano.

Wieść o wypadku, pomimo dość późnej godziny, lotem błyskawicy rozszerzyła się po całem mieście. W pierwszej chwili mówiono oczywiście o licznych trupach, dalsze jednak relacye zredukowały rozmiary katastrofy do właściwych granic. Wystarczyło wszelakoż i to, co się stało, aby zapełnione jeszcze wówczas salony prezesa ministrów w ciągu kilku minut zupełnie opustoszały."

Samobójstwo. Między Bogumiłowicami a Tarnowem z pociągu osobowego idącego przedwczoraj w stronę Krakowa wyskoczył dwudziestoletni może młodzieniec. Podczas jazdy nikt nie zauważył wyskakującego i dopiero w godzinę po przejściu pociągu znaleziono nieszczęśliwego leżącego bez przytomności na nasypie. Budnik, który go znalazł, postarał się co rychlej o odstawienie go do szpitala w Tarnowie.

Stan powietrza. T. o 9 rano +18 R., w poł. +22 R. Bar. 763 Spada. Upał. Zanosi się na deszcz.

Poeta w oprawie.

M a t k a (w loży do swoich córek): Widzicie tego wysokiego pana tam w pierwszym rzędzie? To jest ten sławny poeta, który leży w naszym salonie w czerwonej oprawie z złoconymi brzegami.

I tak bywa.

Zazdrość, co nieraz prowadzi do biedy,
Jest wadą wstrętną do obrzydliwości,
Lecz najwstrętniejszą zazdrość bywa wtedy,
Gdy matka córce sukcesów zazdrości!

Z teatru. Dziś w sobotę (w teatrze letnim) przedostatni gościnny występ M. Zboińskiego artysty teatru krakowskiego „Honor", komedya w 4 aktach Sudermana. W niedzielę ostatni pożegnalny występ M. Zboińskiego „Gwiazda Syberyi", dramat patryotyczny ze śpiewami w 4 aktach hr. Leopolda Starzeńskiego. W poniedziałek (w teatrze letnim) pierwszy gościnny występ Mieczysława Frenkla, artysty teatrów warszawskich „Dwór we Władkowicach", komedya w 4 aktach Z. Przybylskiego. We wtorek (w teatrze letnim) drugi występ Miecz. Frenkla „Porwanie Sabinek", komedya w 4 aktach Pawła i Franciszka Schönthanów. We środę trzeci występ Miecz. Frenkla „Wicek i Wacek", komedya w 4 aktach Z. Przybylskiego. We czwartek czwarty występ Miecz. Frenkla „Nerwowi", komedya w 3 aktach W. Sardou, z powodu wyścigów początek wyjątkowo o godz. 8.

Literatura i Sztuka.

* **Wędrowca** numer 22, opóźniony ze względów cenzuralnych, wyszedł już i rozesłany został abonentom. Wyszedł również nr. 25 *Wędrowca* i zawiera oprócz dalszych ciągów rozpoczętych poprzednio powieści, ciekawe rozprawy i wiadomości z dziedziny wiedzy ludzkiej i społecznej. Klisze wykonane we własnej elektrotypi zdobią znakomicie to wydawnictwo, zyskujące sobie coraz więcej czytelników we wszystkich inteligentniejszych warstwach ludności.

* **Wielkiej encyklopedyi** ilustrowanej tom drugi ponownego wydania jest już w rękach czytelników. Zachwalanie poszczególnych działów, na których opracowanie złożyli się najwybitniejsi nasi uczeni, byłoby zbytecznem wobec okoliczności, że mało która publikacya zyskała takie uznanie i rozgłos, jak właśnie encyklopedya wspomniana. Koszt stosunkowo niewielki, a korzyść z dzieła po jego ukończeniu będzie dla każdego znacznie większa, niż z gromadzenia obcych leksykonów niemieckich, w rzeczach nas Polaków obchodzących zwykle bardzo stronniczych

* **Pisma świętego ilustrowanego** zeszyt 37 wyszedł przy 25 numerze *Wędrowca*. Parę ładnych i czysto wykonanych rycin urozmaica tekst.

SPORT.

Z Krakowa piszą o drugim dniu wyścigów, na które z powodu straszliwego upału przybyło mniej publiczności niż dnia poprzedniego.

W biegu pierwszym — „Otwarcia“ — meta 2.000 mtr. — o nagrodę 1.000 koron, w których 650 pierwszemu, 250 drugiemu, 100 trzeciemu koniowi, dla koni trzyletnich i starszych wychowanych w Galicyi, na Bukowinie i w Rosyi. Z mianowanych 10 koni brało udział 5. Pierwsza przyszła F. Scazighiny „Sapristi“, drugi „Blinkhoolie“ porucznika barona H. Eltza (7 p. ul.), trzeci „Metal“ Wacława hr. Baworowskiego.

Totalizator płacił 5 : 10, 10 : 21, 25 : 109.

W biegu drugim z płotami — meta 2400 m.— o nagrodę honorową ofiarowaną przez członków wydziału i 1200 koron, ofiarowanych przez galicyjski klub jazdy panów, z których 700 pierwszemu, 350 drugiemu i 150 trzeciemu koniowi, dla czteroletnich i starszych koni kontynentalnych z wykluczeniem francuskich. Z mianowanych 12 koni stanęło do startu 7. Pierwszy przybył „Dynast“ porucznika Stanisława Janoty Bzowskiego (1 p. ul.), drugą „Ninon“ F. Scazighiny, trzecim „Cham“ hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa.

Totalizator 5 : 11, 10 : 23, 25 : 116.

Bieg trzeci oficerskie *steeple chase* — meta 4.800 m. — o nagrodę honorową, ofiarowaną przez inspektora kawaleryi hr. Alojzego Paara i 2.000 koron ofiarowanych przez galicyjski klub jazdy panów, w których 1.200 pierwszemu, 500 drugiemu, 200 trzeciemu i 100 czwartemu dla koni czteroletnich i starszych wszystkich krajów, będących *bona fide* w posiadaniu i jeżdżonych przez oficerów, kadetów i ochotników jednorocznych z pułków stojących załogą w Galicyi i na Bukowinie. Z mianowanych 9 koni stanęło do startu 5. Pierwszy przyszedł „Aramis“ por. Fel. Proskowetza (12 p. dr.), druga „Souspresse“ por. Józefa Gerolda (12 p. huz.), trzeci „Harry-Hall“ porucznika Ed. Kollera (7 p. ul.).

Totalizator 5 : 12, 10 : 24, 25 : 124.

W biegu czwartym sprzedażnym — panowie jadą — meta 2.800 m. — o nagrodę 1.000 koron, z których 700 pierwszemu, 200 drugiemu i 100 trzeciemu, dla koni trzyletnich i starszych z wykluczeniem francuskich Z mianowanych 13 koni biegało 4. Piewszą była „Extra“ podpor. I. K. Fibicha (3 p. ul.) kupiona przez hr. Józefa Giżyckiego za 2.4000 koron — drugi „Campeador“ hr. Giżyckiego, trzeci „Ingomar“ Wł. Schindlera.

Totalizator 5 : 16; 10 : 33; 25 : 164.

W biegu piątym „Aldona *steeple chase*“ — panowie jadą — meta 3.200 m. — o nagrodę honorową, ofiarowaną przez hr. Zdzisława Tarnowskiego i 1.000 koron ofiarowanych przez galicyjski klub jazdy panów, z których 700 pierwszemu, 200 drugiemu i 100 trzeciemu koniowi dla koni czteroletnich i starszych wychowanych w Galicyi i na Bukowinie. Z mianowanych 6 koni biegało 3. Pierwsza przyszła „Perła“ por. Hen. Stadlera (7 p. ul.), drugi „Prezent“ rotm. br. J. Hohenbühela (7 p. ul.), trzecia „Aldona“ hr. Zdzisława Tarnowskiego.

Totalizator 5 : 13; 10 : 27; 25 : 138.

Bieg szósty — *steeple chase* — panowie jadą — meta 4.000 m. — o nagrodę „Totalizatora“, honorową, ofiarowaną przez 12 p. dragonów i 1.000 koron, ofiarowanych przez galicyjski klub jazdy panów, z których 650 pierwszemu, 250 drugiemu i 100 trzeciemu, dla koni czteroletnich i dla starszych z wykluczeniem francuskich. Z mianowanych 14-tu koni stanęło do startu 5. Pierwsza przyszła „Florence“ rotm. Hip. Brzozowskiego (2 p. ul.), druga „Csal a leány“ podpor. hr. Pawła Orssicha (1 p. ul.) trzeci „Eneo“ hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa.

Totalizator 5 : 29, 10 : 59, 25 : 295.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 18 czerwca.

(Z.). Jak słabe były podstawy prądu zwyżkowego, który ostatniemi czasy rozwinął się na naszej giełdzie, mieliśmy dowód dzisiaj. Kilka spekulantów przestało kupować walory, a oto w jednej chwili ustał prąd zwyżkowy i kursa zaraz poczęły się cofać. Czujna kontrmina wyzyskała tę sytuacyę i sprzedażami swemi zresztą nie bardzo znacznemi powiększała reakcyę. Na rękę była jej obiegająca w Berlinie pogłoska, że wojska rzeczypospolitej Wenezueli w Ameryce wpadły do sąsiednich posiadłości angielskich Gujany. Niemieccy kapitaliści włożyli znaczne fundusze w budowę kolei w Wenezueli, to też zamieszki w tem państwie są im wielce niepożądane. Ku końcowi powstrzymały cokolwiek prąd zniżkowy silne notowania targu paryskiego. Z Paryża donoszą, że rząd francuski wygotował już projekt ustawy podwyższającej i we Francyi premie od wywozu cukru.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 348·80, węgierskie 378·—, Anglobanki 156·50, Uniony 285·25, Bankvereiny 138·90, Länderbanki 253·25, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 289·—, Elbethale 275·75, Renta papierowa 101·45, srebrna 101·45, austryacka złota 122·80, 4% austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 122·80, 4% węgierska renta wal. kor. 98·90, dukat 5·65—, 20-frankówka 9·52½, marki 11·75, ruble 1·27.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 19 czerwca.

Na dzisiejszym targu na Kleparzu, tak jak na wtorkowym, ruch był bardzo słaby. Pszenica wobec stosunkowo mniejszego zaofiarowania utrzymała się w cenie. Dowozy żyta były stosunkowo znaczniejsze, a że przytem kupujący zachowali się wyczekująco, przeto mimo słabszych cen, żadne większe transakcye nie miały miejsca. Inne produkta nie wykazują różnicy w cenach.

Płacono: pszenicę białą 7·35 do 7·60, czerwoną 7·25 do 7·55, żółtą 7·25 do 7·55, żyto 6·20 do 6·50, jęczmień browarny 5.70 do 6·50, na paszę 5·— do 5·35, owies 5·90 do 6·25, wykę —·— do —·—, rzepak —·— do —·—, konicz czerwony — do — zł., biały — do — zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 20 czerwca. Prezes gabinetu hr. Badeni odjechał wczoraj wieczorem do Pesztu, by być na uczcie dla delegatów, a we wtorek wraca do Wiednia.

Paryż 20 czerwca. Żona markiza Morès'a otrzymała wczoraj wieczorem telegram z Tunisu, podający w wątpliwość wiadomość o śmierci jej męża. Całe to doniesienie o wymordowaniu ekspedycyi Morès'a wydaje się nieprawdopodobne.

Konstantynopol 20 czerwca. W Hauranie wybuchły nowe niepokoje. Wycięto w pień trzy kompanie Druzów.

Ambasador francuski ponowił wczoraj wobec Porty kroki w sprawie Krety i zażądał zamianowania chrześcijanina gubernatorem tej wyspy, uznania traktatu zawartego w Haleppo i zwołania sejmu kreteńskiego. Kilku ambasadorów otrzymało już polecenie przyłączenia się do tych kroków, inni oczekują jeszcze na instrukcye.

Bruksela 20 czerwca. Pewien pijany żołnierz, schwyciwszy karabin w koszarach, rozpoczął strzelać na chybi trafi i dał 50 wystrzałów, zabił urzędnika policyi, a ranił podoficera. Z wielkim trudem udało się związać szaleńca.

Peszt 20 czerwca. Węgierska delegacya po krótkiej debacie przyjęła ordinarium i extraordinarium budżetu wojskowego, tudzież kredyt okupacyjny i wyraziła uznanie ministrom Gołuchowskiemu i Kallayowi za ich działalność.

Rzym 20 czerwca. Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu oświadczył minister rolnictwa, że rząd włoski postanowił przyjąć zaproszenie rządu francuskiego do wzięcia udziału w międzynarodowej wystawie w Paryżu w 1900 r.

Ateny 20 czerwca. Dziennik urzędowy ogłasza dekret, przyznający rządowi 300 000 drachm na wsparcia dla zbiegów kreteńskich.

HOTEL ZORŻA
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 czerwca. M. Szturmany z Podola ros. Sz. hr. Koziebrodzki z Chlebowa. O. Schnell z Firlejówki. K. hr. Rostworowski z Hrehorowa. M. dr. Rosenstock ze Skałatu. J. Suchecki z Wilna. W. Wolski ze Schodnicy.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 czerwca. Hrabina J. Chodkiewiczowa z gubernii wołyńskiej. Fr. Walewska z Nossowa St. Lewandowski z Bełzca. Dr. Koch z Podola rosyjskiego. St. Kuczyński z Warszawy. Dr. C. Glaser z Tarnowa. J. Fiński z Brzeżan. St. Chmurowicz z Nozdrzec. J. Dolińska z Tarnowa. Fr. de Biliński z Turki. J. Walter z Wiednia. R. Horodyski z Żabiniec. C Lekczyński z Remenowa.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 19 czerwca. Notowania wieczorne. Kredyty 350·87, węgierskie kredyty 378.50, anglobank 158.50, bankverein 138.50, unionbank 286·50, länderbank 254.00 staatsbahny 359.62, lombardy 102.00, albethale 276.—, akcye tytoniowe 173.—, rima 233.75, alpiny 79.60, renta majowa 101.35, węg. renta złota —.—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 54.30, węg. renta koronna 98.95, marki 58.80, ruble —.—.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowski w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.